

IWONA BURDZANOWSKA

ur. 1960; Krasnystaw



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, fotografia, praca fotoreportera, Gazeta Wyborcza, Gazeta w Lublinie

Praca fotoreportażystki

Pierwsze „ataki terrorystyczne” w Lublinie. Nagle panowie zaczęli sobie bomby podkładać. To były takie trzy dni, ostrej pracy. Piątek, sobota i niedziela były zawody samolotowe zimowe. Ja te zawody zawsze obsługiwałam, bo przepisy były jakie były, więc nie dość, że zdjęcia musiałam zrobić, to jeszcze musiałam relacje pisać z tych zawodów samolotowych. I wtedy w niedzielę ja już taka zmachana byłam po tych trzech dniach takiej trudnej pracy. To był listopad, cały tydzień pracy, plus jeszcze ten weekend taki mocno dla mnie pracujący. Mieszkałam wtedy na 1-go Maja. Pojechałam do teściów po męża i córkę. Teściowa mówi, że jest serial jakiś do obejrzenia – namiętnie brazylijskie seriale oglądali, ja mówię taka poddenerwowana, że albo jedziemy teraz, albo oglądamy serial, ale tak stanowczo. Ja po prostu chciałam się stamtąd zwinąć, bo tak coś mnie goniło, goniło mnie. Pojechaliśmy jeszcze po piwo, postawiliśmy samochód, weszliśmy do domu, piwo do lodówki. Akurat to piwo pamiętam, że miałam dwa browary. Browary do lodówki, lodówkę klap. Zdjęłam jednego buta, jak coś nie łupnie! Mówię: „Cholera. Nie podoba mi się” A huknęło blisko, aż szyby zadzwoniły. „Nie podoba mi się to” Mówię do męża: „Otwórz okno” A przez te okna wiało, bo to stary budynek, mówię „Słuchaj, nie podoba mi się ten wybuch, otwórz okna” Zaczęłam tym oknem szarpać, otworzył mi to okno. Ja wyglądam, a tutaj – dym, samochód rozwalony. Nosem pociągnęłam – zapach materiałów wybuchowych. Mówię: „Przecież ja ten zapach znam z poligonów. W tym dymie coś, jakiś samochód rozwalony. Wypadek czy co?” I zbiegłam na dół. Sprzęt po raz pierwszy w życiu zostawiłam w redakcji, ponieważ rano miałam jechać na angielski, więc mówię: „Nie będę wlokła tego sprzętu, bo mi się nie chce. Nie będę. Niech on leży, z angielskiego, który miałam na Kalinie, pojedę od razu do roboty” No więc, jak zobaczyłam, co się dzieje, to kazałam sobie rzucić kluczyki przez okno, wsiadłam w ten samochód mój, który był dalej zaparkowany. Wydarłam na Krakowskie – wszystkie czerwone światła pozaliczałam. Wbiegłam na górę. Kolega składacz-łamacz właśnie miał odjeżdżać, już gazeta była wysłana. Wbiegłam na

górze, złapałam ten sprzęt –na to drugie piętro, to z taką zadyszka, mówię: „Wiesiek, jedziemy!” No i pojechaliśmy. Tam, jeszcze policja się nie zjechała, ja po prostu w dziesięć minut byłam w tę i nazad. Maluchem. Wiesiek gdzieś tam postawił to auto, ja się biorę za robienie zdjęć, a tu mam ostatnie dziesięć klat filmu w aparacie i prądu w lampie może na pięć strzałów. Wiesiek skręcał mi ten sprzęt, a ja jechałam, bo mówię „Wiesz co, jak będzie problem z policją, to ja wezmę to na organizm” No i przyjechaliśmy, zrobiłam to co trzeba było zrobić. Nie było to przyjemne, szczegółów daruję. Trzeba było wrócić do redakcji, żeby to wywołać. Nasza gazeta, nasza część już była w łamaniu, ale poszło to na główny grzbiet warszawski, bo jedynie tam miejsce było. Całe szczęście, że wydawcą był Jacek Rakowiecki, który czuł newsa, więc on zrobił po prostu miejsce, żeby weszła informacja z jakimś znacznym pocztowym. To już było po wszystkich deadlinach. No, zabawa na całego. Przyjechałam do domu, postawiłam to auto, jeszcze się pokręciłam przy tym miejscu, bo jak tu spać, jak jestem obudzona absolutnie. A okazało się, że panowie terroryści, panowie związani z grupami przestępczymi chcieli komuś podłożyć gdzieś pod sklepem bombkę. Klient majstrował przy tej bombie, miał ją na kolanach i przejeżdżali gdzieś niedaleko tej mojej kamienicy, to takie jeszcze wielkie audi było, a z drugiej strony jechała policyjna nyska czy jakiś inny polonez i mieli radio włączone. I to miało być, wyzwalane na radio chyba. Jak ci policjanci zaczęli gadać [przez radio], to temu facetowi na kolanach po prostu ta bombka złożona z plastiku i innych rzeczy normalnie wybuchła. No i tego jednego to wypruło tak zupełnie, drugiego wyrzuciło przez drzwi. Oczywiście też tego nie przeżył, ale już nie był taki pomasakrowany jak tamten z tą bombą na kolanach. To to była taka właśnie jedna z tych historii, jak dwadzieścia metrów od mojego samochodu wybuchła samochód z bombą. No, można się śmiać, ale to tak średnio było. Później się zawzięli i wyłapali tych wszystkich, którzy mieli bombowe pomysły. Ale były też jakieś żarty pod tytułem bomba wrzucona do kosza na śmieci na Czechowie, przy Żywnego. Był tam jakiś supermarket, nagle coś im w śmietniku zaczęło migać. Środek nocy gazeta już skończona. Anka Augustowska zadzwoniła do redakcji, bo ona była gdzieś towarzysko na Czechowie, a my z Agnieszką pojechałyśmy bombowe dziewczynki, bo tylko my byłyśmy w redakcji. Anka do nas dołączyła. I, pamiętam, był zakład z policjantami: „Nie, nie uda się pani zrobić tej diody świecącej przez ten śmietnik” A ja mówię: „Założymy się?” Zrobiłam. Wszystko wygaszone, światła wygaszone w tym sklepie, ta bomba wystawiona niby w tym śmietniku i światełko. To była jakaś atrapa. Jakiś straszak. Bardziej to był straszak, niż bomba, ale zabawy było na całą noc. Bo przyjechali pirotechnicy z Rzeszowa. U nas takich nie było, więc ekipa musiała się zebrać i przyjechać z Rzeszowa. A żeby zdjęcia jakieś były na następny dzień na kontynuację, to trzeba było na nich poczekać. I nocka z głowy. Tak to było. Zawsze się coś działo. I tak jak kiedyś –jest zebranie i w złą godzinę było wypowiedziane: „Nic się nie dzieje, nic się nie dzieje z czego tu zrobić gazetę? Nic się nie dzieje”–„Spokojnie, coś się wydarzy” –„Ale z czego zrobić gazetę? Coś na jedynekę by

się przydało” Zrobiło się. Akurat pod Lublinianką, samochód się zapalił. A że wtedy była jakaś nagonka na te instalacje gazowe montowane w samochodach, które były takie jednak trochę domowej roboty, no więc poszłam, zrobiłam mu te zdjęcia mówię „No i co Michał? Widzisz, wydarzyło się! Potrzebowałeś? Jest!” Pamiętam że na KUL-u kiedyś jakaś oficjalna wizyta była. Taka bardzo oficjalna wizyta. I oni sobie zażyczyli: „A, nie. Tutaj nie.” Ja grzecznie, zielona spódniczka, sprzętu, że łeb urywa. Weszłam tam sobie na podwórko, gdzie mieli kłaść kwiatki. I reszta towarzystwa tego fotograficznego zobaczyła, że tam weszłam, a oni nie mają szansy. I znalazł się taki jeden fotograf, który poleciał i podkablował mnie do borowików [pracownicy Biura ochrony Rządu], że albo wszyscy, albo nikt. No i borowik popatrzył jeden na drugiego: „No cóż, widzi pani, ma pani takiego kolegę, że musimy panią niestety wyprosić, chociaż nam pani tu nie przeszkadzała” Nie zauważyli mnie. Ja mówię: „No to może ja się będę opierała?” – „Nie, to panią wyniesiemy” Także tak też było fajnie. A jeszcze przecież ja sport robiłam, to jeszcze sportowe historie były. Na piłce ręcznej, damskiej, jak jeszcze była w MOSiR-ze, to tam nie było miejsca, żeby się schować, żeby odejść. Bo wiele razy było tak, że piłka rzucona krewką rączką zawodniczki, a one były mocne w rękach te panie, tak jak gwizdała koło ucha to jakby bomba przelatowała, jakby pocisk przelatował. Raz skuliłam się, odsunęłam, ale mimo wszystko koło ucha mi przeleciała taka piłeczka, a ona nie dość, że jest nasmarowana to jest twarda i ma prędkość i siłę dobrego pocisku. Siniaka mogła zrobić spokojnie. A że tam była ściana, więc jakby człowiek zaliczył piłką w głowę, to od razu walił głową o ścianę i się osuwał.

Data i miejsce nagrania	2016-01-15, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"